

Michał Gołębiowski: Nie ma ojca, nie ma oblubienicy, jest wiek niewrażliwości

Dziś dominującym duchem stało się coś w rodzaju metafizycznej nieczułości; to dziwny stan, jakby obojętność albo uśpienie, które być może zasadnie byłoby wiązać z postawą bierności. Inne możliwe określenia to kapitulacja, powierzchowne zaspokojenie i doraźność – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Pięćsetka. Rzecz o XXI wieku”.

Możemy odnieść wrażenie, że współczesność wchłonęła nas – wierzących i niewierzących – w swoje ciemne wnętrze. Zupełnie tak, jak wielka ryba, która połknęła Jonasza. Staliśmy się zwyczajnie niepewni swojego losu, choć oczywiście, egzystując w skonstruowanym przez siebie systemie zabezpieczeń, nie zawsze bylibyśmy skłonni przyznać się do utajonych lęków. Niepewność czyni nas, chrześcijan i niechrześcijan, braćmi i siostrami w tym samym nieszczęściu.

O ile jednak Jonasz zanosił ze środka wielkiej ryby rozpaczliwe pieśni, o tyle współczesny człowiek Zachodu na ogół nie znajduje w samym sobie tej samej gwałtowności, która miałaby go wyrwać ze stagnacji i niepełnego istnienia. Okazało się, że w niepewności losu można się jakoś urządzić, o ile w zasięgu naszych możliwości pozostaje korzystanie z doraźnych znieczuleń.

W związku z tym, stawka „życia wiary” znacznie zmalała, albo już wcale jej nie ma. „Sprawiedliwy będzie żył dzięki swej wierze” (Hbr 10,38) – ale to nieważne. Przynajmniej nie na tyle, żeby doświadczać z tego powodu bojaźni i drżenia. „Gdyby zaś cofnął się”, ostrzega Bóg, „przestanę mieć w nim upodobanie” (Hbr 10,38). Ta groźba nie brzmi już strasznie; w tym sęk. Błogosławione ryzyko wiary utraciło swoją dramatyczność, stało się raczej umowne, co najwyżej psychologicznie użyteczne, a „cofnięcie” – przestało kojarzyć się ze zdradą samego siebie.

Przeczytaj również: [TPCT 500] Konrad Wyszowski: Czym jest XXI wiek w dziedzinie filozofii i jak zostanie zapamiętany?

A zatem bezradność, która raz za razem jakoś do nas dociera, najwidoczniej przestała być szansą i oknem na Większego. Można odnieść wrażenie, że ludzkość tego wieku podjęła walkę nawet nie tyle z samą tą bezradnością, co z towarzyszącym jej uczuciem; mniejsza już o to, że przykrym i niewygodnym, ale przede wszystkim – naruszającym zbudowane przez nas systemy bezpieczeństwa. Nie ma potrzeby komplikować życia, które mogłoby się po prostu toczyć.

Tak zdaje się brzmieć podstawowa dezyderata naszych czasów. Nawet jeśli prowadzone są dziś dyskusje wokół religii, to raczej w celu negocjowania różnych narracji, dla czysto doczesnych korzyści, często bez przejęcia się realnością prawd wiary. Mamy więc swoistą immanentyzację eschatologii i wieczności: to, co „nie jest z tego świata” (J 18,36), próbuje się zamknąć wyłącznie na ten świat. Może dlatego, w przeciwieństwie do Jonasza, wielka ryba nie wypłuwa nas na brzeg, lecz trzyma w swoim wnętrzu i skazuje na pozbawione sensu trwanie daleko poza naszym własnym powołaniem.

Bo trudno nazwać powołaniem ustawiczne negocjowanie słów i znaczeń. To raczej działanie znieczulające, pozorne uspokojenie, które w gruncie rzeczy niczego nie załatwia. Wciąż nosimy w sobie doświadczenie człowieka jako kogoś rzuconego w burzę (to również obraz z Księgi Jonasza), z tą różnicą, że nie potrafimy już przejść się naszą własną istotą, ani wyrazić na nią zgodę; wolimy raczej od niej odejść, uwolnić się, „żeby być daleko od Pana” (Jon 1,3). W ten sposób dzisiejszy człowiek utracił to, co św. Augustyn nazwał *inquieta corde nostro*, „niespokojnym naszym sercem”.

A raczej nadal w sobie to ma, tyle że najczęściej w stanie odwrażliwienia. „Niepokój” – tak, ale względem tego, co może zostać doraźnie wynegocjowane.

Być może wszystko to jest po prostu dalszym ciągiem dobrze rozpoznanego procesu wygaszania *πρώτην ἀγάπην*, „miłości pierwszej” (Ap 2,4). Wpierw osłabienie apostołskiej gorliwości i męczeństwa, które wyprowadziło św. Antoniego Egipskiego na pustynię, a Tertuliana – poza granicę jedności Kościoła. Później osłabienie wrażliwości eschatologicznej na rzecz religii mieszczańskiej; chrześcijaństwa, któremu spodobało się wygodne urządzenie w wymiarach tego życia. Zgorszyły się nim postaci tak od siebie odmienne, jak Fryderyk Nietzsche i Søren Kierkegaard.

Dziś dominującym duchem stało się coś w rodzaju metafizycznej nieczułości; to dziwny stan, jakby obojętność albo uśpienie, które być może zasadnie byłoby wiązać z postawą bierności. Inne możliwe określenia to kapitulacja, powierzchowne zaspokojenie i doraźność.

Jeszcze do niedawna egzystencjaliści, a po nich przedstawiciele postmodernizmu wykazywali znaczną wrażliwość na utratę ukierunkowania ludzkiego życia.

Tym, którzy twierdzili, że „nic się nie zmieni, mimo że Bóg nie istnieje”, Jean-Paul Sartre, chyba najbardziej konsekwentny filozof ateizmu, odpowiadał: „jest to bardzo kłopotliwe, iż Bóg nie istnieje”. W świecie bez „czegoś więcej” należy konsekwentnie wchłonąć w siebie albo dać się wchłonąć przez jedyną alternatywę – nicość. Stawka była spora. Dziś już jakby nie jest. Po prostu: *żyje-się*. A przecież to gwałtownicy (βιασται) zdobywają Królestwo niebieskie (zob. Mt 11,12).

„Kto osiągnął wyciszenie”, pisał św. Jan Klimak, „poznał głębię tajemnic”. Dalej czytamy, że „nigdy nie doszłoby do tego, gdyby [ten ktoś] wcześniej nie zobaczył i nie usłyszał huku fal i podmuchów wiatru; być może został nawet przez nie zbryzgany”. Co za wspaniałe słowa. Wymowne dla mnicha, który poznawszy otchłań swojej nicości, rzuca się w otchłań wiary.

A dla nas – brzmiące jak wyrzut.

Skoro człowiek współczesny nie woła i nie czeka na spełnienie czasów, na biblijnie rozumianą *παλιγγενεσία* (Tt 3,5: „obmycie odradzające”), to naturalnie wśród osób wierzących pojawia się pytanie, jak na nowo

rozpalić wiarę ludzi. Pięknie ujął to prawosławny teolog, Jean-Yves Leloup, pisząc, że chodziłoby tu przede wszystkim o przejście od stanu znieczulenia do przebudzenia.

Współczesny Kościół na różne ludzkie sposoby stara się zaradzić powszechnemu śnieniu całego naszego pokolenia. Zwyczajnie prowadzone dyskusje apologetyczne przynoszą chyba niewielki efekt; w każdym razie – są zdolne do defensywy wiary, ale nikogo za bardzo nie nawracają. Racja, apostoł Piotr pisał: „Zawsze bądźcie gotowi udzielić odpowiedzi tym, którzy pragnęliby wyjaśnić co do ożywiającej was nadziei” (1 P 3,15), ale czy wciąż jeszcze ożywia nas, jako chrześcijan, pierwotna nadzieja?

To prawda, nie mamy dziś wielu odważnych i konsekwentnych apologetów. Ale nie to jest zasadniczym problemem chrześcijaństwa we współczesnym świecie. Spójność obrony wiary może pomóc usunąć przeszkody na drodze do spotkania Jezusa Chrystusa, jednak tylko u tych, którzy już mają w sobie jakieś wołanie lub odpowiedzieli na zasłyszany głos kogoś nieznanego. Tak było na początku chrześcijaństwa, czego przykład dali chociażby św. Justyn Męczennik czy Atenagoras z Aten. Zaistniała u nich wcześniej wrażliwość na prawdę, przejęcie się własną istotą, głód i niepokój ducha. To ukierunkowanie uznawano za niezbywalną część ludzkiej natury. Dziś coraz częściej stwierdzimy po prostu, że „nie ma takiego, który by szukał Boga” (Rz 3,11). Nie jest to już sprawa szczególnie istotna. I niezbyt to kogokolwiek dziwi.

Można znaleźć wiele sposobów na budzenie świata, od dyskusji akademickich po zaangażowanie społeczne, wierząc, że właśnie one wzniecą przygasający płomień, gdy tymczasem Pismo stwierdza, że to „Duch i Oblubienica mówią: Przyjdź” (Ap 22,17). Innymi słowy, wołanie o przyście należy do ducha i oblubienicy w nas. Takie są jego źródła. Nie ma go i nie będzie, jeśli zabraknie ducha i oblubienicy. „Człowiek doskonały staje się przez pocałunek i to przez pocałunek rozradza się”, mówi *Ewangelia Filipa*, wprowadzając apokryf, lecz zawierający ważne zapisy pierwotnego ducha.

A zatem: doświadczenie Boga. Nie hipoteza, lecz spotkanie: „Dotychczas znałem Cię tylko ze słyszenia, teraz patrzę na Ciebie własnymi oczyma” (Hi 42,5). Ewangelia wyłącznie jako prekursor praw człowieka, gwarant ludzkiej godności, kompas moralny kultury – to za mało, to nawet nie jest chrześcijaństwo, lecz jeden z jego skutków. Apostoł Paweł wyraźnie napomniął, że Ewangelia nie jest ludzką nauką, obyczajnością ani spójną argumentacją na rzecz słuszności praktykowania religii; jest „ukazywaniem ducha i mocy” (1 Kor 2,5), z którego, jak się wydaje, współczesny wierzący zrezygnował na rzecz bezpieczniejszej pozycji.

A zatem duch i tożsamość oblubienicy – to dwie rzeczy, których przede wszystkim brakuje naszemu wiekowi. Dzisiejszy czas pozornie ich nie potrzebuje i pozostaje na nie niewrażliwy. A tak naprawdę są mu niezbędne.

Może to dość nieintuicyjne, ale osobiście nie wierzę, aby wyjście z wieku nieczułości dokonało się przez posunięcia ostrożne, ważne ludzką rozważą. Odpowiedzią jest rzecz mocna – duchowość mnisza. Wzrok skieruje się ku górą, aż zdamy sobie sprawę, że postawiony tam klasztor, zapomniany, cichy i wtopiony w krajobraz, nie istnieje dla samego siebie. Istnieje dla świata, dla innych. Dotyczy to każdego klasztoru, nawet tego najbardziej zamkniętego. Solą chrześcijaństwa, zarówno jego części świeckiej, jak i duchownej, jest bowiem życie mnisze, tradycyjnie określane jako stan oblubieńczy wobec Boga. Solą życia mniszego jest natomiast pustynia i milczenie.

A więc raczej to, co „zwycięża świat” (J 16,33), gdyż „mocniejsze jest od świata” (1 J 4,4), nie należy do tego samego porządku; wypisuje się z jego gry, nie stara się negocjować, nie przynależy do żadnej z baniek. Jest mnisze. Słowo μοναχός oznacza zresztą kogoś samotnego w sensie osobności i odosobnienia, ale także życia we własnej duszy jak w odrębnym kosmosie.

Skoro klasztor nie istnieje dla samego siebie, to nie można, oczywiście, zgodzić się na odseparowanie chrześcijan od świata. Chodzi raczej o wyjście z tych samych struktur bezpieczeństwa i gier znaczeń, którymi ludzie zagłuszają dziś swoją niepewność. Podobnie zresztą pierwsi pustelnicy, Ojcowie Pustyni: przemienili świat wtedy, gdy bezczelnie zrezygnowali z jego zasad. Uciekając od ludzi, sprawili, że ludzie zaczęli szukać ich niczym ostatniej nadziei. Ich – βιαστῶν, gwałtowników, ludzi zadających gwałt Królestwu Bożemu, a milczących wtedy, gdy świat wokół stawał się hałaśliwy.

Bo istotnie, mamy dziś zbyt wiele głosów. Jest to kolejna cecha charakterystyczna naszych czasów, być może zresztą leżąca u podstaw metafizycznej nieczułości. Ustawiczne trwanie w atmosferze wielosłowa i hałasu prowadzi przecież do odwrażliwienia. Tymczasem wiara rodzi się ze słuchania, a słuchanie z – usłyszenia. Tak być może dałoby się sparafrazować słynne zdanie z Listu do Rzymian, aby stało się dla nas bardziej czytelne. Do usłyszenia drugiej osoby potrzeba przynajmniej jakiejś formy spotkania, a wcześniej – mniszego zamilknięcia. Wejścia w siebie, w pustkę, aby na powrót znaleźć się w tym, co św. Ignacy z Antiochii nazwał „wielkim milczeniem Boga”. Z tego miejsca wyłania się na powrót Słowo.

A ponieważ wielosłowie to także wielość rozmaitych narracji o świecie, które nie pozwalają nam zbudować obrazu rzeczywistości i nas samych, to milczenie prowadzi też do scalenia. Może więc najpierw należy, w ślad za mnichami, wyjść poza słowa, w ciszę.

Jak wspomniałem, Bóg przestał być już poważną stawką. Przestał nią być dlatego, że pytanie o Jego obecność i zamysł dla wielu z nas, współczesnych, nie jest wcale dramatyczne.

Nie wierzę, aby dyskusja przemawiająca za racjami chrześcijaństwa mogła poruszyć człowieka Zachodu, a to dlatego, że z natury rzeczy doświadczenie religijne pada na kogoś, w kim zrodziły się dwa stany: egzystencjalny niepokój i pytanie o sens. Bez nich nawet najspójniejsza

argumentacja nie znajdzie większego rezonansu. Dyskusje mogą nie mieć końca, będą wyłącznie ustalaniem, a dusza nie stanie się przez to oblubienicą.

Siłą rzeczy egzystencjalny niepokój – efekt wstrząsu, który powstaje w wyniku świadomości własnej istoty – zmusza do transcendowania, a ruch ten jest, jak się zdaje, coraz rzadszy u ludzi. Jeżeli naprawdę mi na czymś zależy, a jednocześnie jestem świadomy nicości, z której wszystko powstało i nicości, do której zmierza, to pytam o sens. Wpierw może chodzić o sens w granicach ograniczonego doświadczenia, lecz może też przyjść pytanie o sens ostateczny.

W każdym wypadku, człowiek zaczyna się wznosić, transcendować, odtąd już na zawsze traci niewrażliwość i spokój w samym sobie. Wie, że nie zapewni sobie tego, czego potrzebuje i że w rzeczywistości jest podległy. Jeden z Ojców Pustyni, św. Izajasz Anachoreta, uznał to za przejaw „zgodnego z naturą gniewu”.

Dusza zaczyna więc odczuwać bezsilność w drodze do zaspokojenia podstawowego głodu. Sprawę pogarsza fakt, iż z czasem okazuje się on samym centrum środka, jądrem istoty ludzkiej. Powstaje pytanie: jak stać się, o własnych siłach, tym, czym jest się naprawdę? „Wśród ludzi – to niemożliwe, ale u Boga wszystko jest możliwe” (Mt 19,26), mówił Jezus. Bez doświadczenia własnych granic – od bezradności wobec losu aż do wychylenia własnej skończoności w nieskończoną pustkę – nie może zrodzić się w duszy oblubienica. Znaczy to ni mniej, ni więcej, że doświadczenie religijne nie znajdzie wówczas dla siebie właściwego gruntu.

Współczesność stara się nas chronić przed przykrym i zupełnie niepotrzebnym uczuciem, które moglibyśmy doznać na skutek tak właśnie rozumianego egzystencjalnego wstrząsu. Pokój i bezpieczeństwo nam się należą – taki jest nasz ogólny stan ducha. Nie da się, oczywiście, zaprzeczyć, że bezpieczeństwo to jedna z naszych podstawowych potrzeb, ale czy na pewno się nam należy z racji samego naszego istnienia w świecie? Przestaliśmy widzieć w tym łaskę, czyli dar z zewnątrz, spoza nas, z góry. Nie jesteśmy już wdzięczni. A gdzie nie ma wdzięczności, nie może być też wiary, ani chęci poznania Tego, który daje; nie ma wołania: „Przyjdź”.

Przeczytaj również: [TPCT 500] Filip Memches: Antychryst, katechon i sztuczna inteligencja

Innym naszym zabezpieczeniem jest przekonanie o tym, że wszystko może być poznawalne. To zaś znieczuła na tajemnicę istnienia. Nie tylko zresztą na nią samą, ale też na zdolność do czytania świata w kategoriach misterium.

„Czemu moja wiedza jest ograniczona”, pytał Blaise Pascal. Świadomość własnej skończoności – jakże znamienne dla jednego z geniuszy nauki, który jednocześnie żył tak, jakby wiedział, że „ten, co się sam za mędrca uważa, budzi mniej nadziei aniżeli głupiec” (Prz 26,12) – prowadziła do przekonania o braku samowystarczalności wszystkiego, co istnieje, a co za tym idzie – do poczucia głębokiej tajemnicy. „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”, wyznał autor *Myśli*. Dziś zdaje nam się, że zasadniczo wiemy wszystko, a więc wszystko zostało odarte z niewiadomej. Kiedy zaś dobija się do nas, od czasu do czasu, doświadczenie granic wiedzy i

naszego sposobu poznania, to zanim w duszy dojdzie do drżenia, zaraz pojawia się kojące przekonanie, że na pewno z czasem będziemy wiedzieć.

A więc nie ma tajemnicy. Są tylko niewiadome. To, co pozostaje w naszym zasięgu – to wszystko. Wielość i różnorodność – owszem, ale nie świętość, nie misterium.

„Błogosławiony, kto przeniknął do bezgranicznej nieskończoności, przekroczył rzeczy skończone”, pisał Talazjusz z Libii. Na tym zdaniu można by właściwie poprzestać. Nie jest już ono jednak tak zrozumiałe, jak kiedyś. Brzmi w naszych uszach nieco inaczej, coś jak afirmacja, przekaz zatrzymujący się na pułapie psychologii albo pobożne życzenie wobec świata, który jest po prostu tym, czym jest, bez Woli i Tchnienia, które w istocie rzeczy podtrzymywałyby go w istnieniu.

Wspomniałem już o dwóch przyczynach κοίμησις, czyli uśpienia współczesnego człowieka: o zgaśnięciu w nas ducha i oblubienicy oraz systemie ochronnym przed egzystencjalnym wstrząsem jako początkiem doświadczenia religijnego. Lecz jest jeszcze trzecia przyczyna, nie wiem, czy pierwotna i źródłowa w stosunku do reszty, lecz być może najpoważniejsza. W każdym razie dotycząca chrześcijan i tego, z jakich powodów ich posłannictwo w świecie okazało się, zgodnie z diagnozą Benedykta XVI, „nieskuteczne”.

Jest to coś na kształt kryzysu ojca. Nigdy nie dość przypominania o tym, że Jezus Chrystus przeszedł przez życie, aby pojednać nas z Bogiem. W samym sobie uczynił nas Jego dziećmi, a zatem ogłosił, że

jest On naszym Ojcem. Sytuacja ta zmienia wszystko. „Wtedy rzekł do Niego Filip: Panie, pokaż nam tylko Ojca, a to już nam wystarczy” (J 14,8). W rzeczy samej – to wystarczy. Ale bez świadomości tego usynowienia, nasza wiara nie może mieć mocy i nie przemieni ani nas, ani świata, do którego jesteśmy posłani.

Tutaj właśnie tkwi nasz największy problem. Ująłbym go w następujący sposób: ilekroć chrześcijanin traci doświadczenie Ojca, odczuwa swoje życie jako sieroce, choćby w tej wierze, którą wyznaje intelektem i ustami. Będąc takim właśnie „dzieckiem bez Ojca”, usiłuje jakoś rozwinąć tę energię swojego wnętrza poprzez praktykowanie religijności zgodnie z własną miarą. Nie trzeba chyba dodawać, że będzie to miara samego człowieka, coś bliskiego ziemi, zbyt wątego i pozbawionego siły, aby wznieść się wyżej.

Chrześcijanin potrzebuje głębokiej znajomości Ojca. Bez niej, zaczyna mieszać się z tym światem. Zresztą, właśnie tak Jezus odróżnił pogan od świętych. Ci pierwsi nie mają nad sobą Ojca, a ci drudzy – są Jego dziećmi. Między jednym i drugim sposobem egzystowania, choć na zewnątrz bardzo podobnym, zachodzi diametralna różnica. Ma to swoje promieniowanie. To jedno przemienia. „Pokaż nam tylko Ojca, a to już nam wystarczy” (J 14,8). Wobec prawdziwej i głębokiej świadomości Ojca nie ma potrzeby troszczyć się tak bardzo o całą resztę, która mogłaby zagrażać autentyczności naszej wiary. To jedno wystarczy.

A jednak to właśnie w kwestii posiadania Ojca mamy, jako wierzący, największe deficyty. Można wręcz powiedzieć, że przestaliśmy oddziaływać na świat, ponieważ utraciliśmy rzeczywistą świadomość bycia dziećmi. Dlatego współczesność wchłonęła nas razem z

niewierzącymi niczym wielka ryba, która wcześniej połknęła Jonasza. Jesteśmy razem z nimi, w tym samym nieszczęściu. Ale dopóki nie nauczymy się na nowo dziecięctwa i ojcostwa Boga, ryba nie wypluje nas na brzeg. To dla nas wielka nadzieja.

Michał Gołębiowski

Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [500]: Pięćsetka. Rzecz o XXI wieku

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
